Józef Baran

Przystanek Marzenie (41)

(fragmenty)

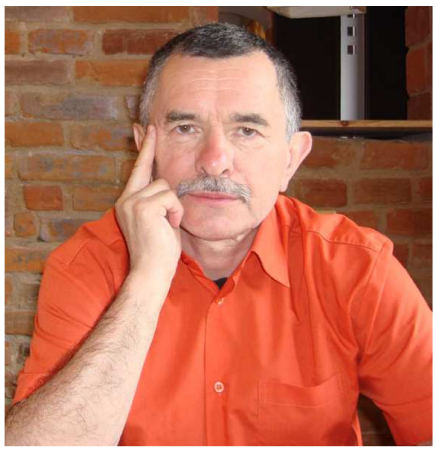

Życie – kwestia przyzwyczajenia?

Wyglądam przez okno na Białoprądnicką i dachy Krakowa. Siąpawica, październikowe chłody, ludzie skuleni pod parasolami. Ja tymczasem od paru dni siedzę w domu, w cieple i do tego siedzenia przyzwyczaiłem się już tak, iż napawa mnie lękiem myśl, iż jutro muszę wyjść na deszcz do miasta. Po skończeniu zażywania antybiotyków – trzy razy zdążyłem się przecież już zaziębić, wychodząc właśnie za wcześnie.

A przecież pamiętam okresy, gdy byłem ciągle poza domem – rozbiegany, rozgadany, rozkręcony. Ba, przyzwyczaiłem się od tego rozbiegania tak, iż wydawało mi się, że siedzenie w domu jest szczytem nudy, wytrąca z „równowagi ruchu".

Czy to oznacza, że wszystko jest kwestią przyzwyczajenia, nawyków, nałogów? Nawet samo życie? Że jak się człowiek rozsiedzi, to mu trudno wstać, jak się człowiek rozbiega, to go trudno zatrzymać, a jak się człowiek rozżyje, to nie jest w stanie sobie wyobrazić siebie nieżyjącego?

Czyli, że można mówić o czymś w rodzaju nałogu życia, tak jak się mówi o nałogu palenia, o nałogu alkoholowym, o narkomanii. Jesteśmy nałogowymi istnieniowcami. Przyzwyczailiśmy nasz organizm do narkotyku życia – minuta po minucie, godzina po godzinie, rok po roku...

Przy okazji wyglądania przez okno – nagła myśl i pytanie: a może, gdyby zapytać nieboszczyka, który przyzwyczaił się do niebytu, czy ma ochotę wstać z grobu i na powrót ruszyć w życie – prychnąłby nosem i wzruszyłby ramionami, gdyby je oczywiście jeszcze posiadał? Bo z jego perspektywy życie to troski i mordęga, bieganina w kółko Macieju i nawet ta radość na osłodę w młodych latach nie równoważy zmartwień, bólów i starczej rezygnacji pod koniec życia. Bo on naprawdę już się tak przyzwyczaił do słodkiego nieistnienia, wiecznego nieróbstwa, że straszną karą byłoby zgodzić się na powrót do pracy zwanej życiem.

Gen marzenia

Profesor Andrzej Szczeklik, omawiając w tomie esejów teorię ewolucji, dochodzi w końcu do książki *Samolubny gen* Richarda Dawkinsa, z której wynika, że zgodnie z logiką Darwina i koncepcją doboru naturalnego jesteśmy tylko „rezerwuarami genów, które walczą bezwzględnie o to, by przetrwać, pokonać współzawodników i powielić się w następnych pokoleniach". Dzięki sile naszego „samolubnego genu" uplasowaliśmy się tak wysoko na wierzchołku drabiny ewolucyjnej.

No tak, zastanawia się autor, ale co zrobić z ludzkim altruizmem, stanowiącym o odrębności społeczności ludzkiej, jakiejś jej anomalii w świecie zwierzęcym, gdzie do altruistycznych wyjątków należą tylko mrówki i pszczoły, bo potrafią poświęcić swe życie dla wspólnoty ula? Bo poza tym bezinteresowna chęć dzielenia się z innymi to istota li tylko człowieczeństwa. Można nawet mówić o ośrodku dobroczynności w naszym mózgu „w tylnej części bruzdy skroniowej górnej". Im silniej jest pobudzony, tym większe szanse, że będziemy na przykład Matką Teresą.

A mnie w tym momencie przychodzi do głowy nieśmiała myśl, że i „gen marzenia" należy do tych naszych przedziwnych wyróżników, odróżniających nas od reszty świata fauny i flory. Gen marzenia zdopingował nas do stworzenia sztuki, do odkryć i wynalazków, do ciągłego przekraczania kolejnych horyzontów wiedzy. Gen marzenia zaprzecza twierdzeniu Dawkinsa, że „ jesteśmy tylko maszynami do przetrwania, robotami, ślepo zaprogramowanymi, tak by zachować samolubne cząstki, znane jako geny". Gen marzenia (nie mylić z biernym marzycielstwem) popchnął nas na szlaki ewolucyjnego zdobywania kolejnych szczytów, pokonywania granic, przełamywania barier własnego ograniczenia. Gen marzenia niepogodzony ze śmiertelnością ludzkiego bytowania pozwolił rozwinąć skrzydła naszym religijnym wizjom i duszy, która „z ciała odleciała / na niebieskich łąkach stała"...

Las przeobrażeń

1 listopada

Przed snem wnuczka Ninka domaga się ode mnie bajek.

Opowiadam jedną bajkę, opowiadam drugą bajkę. Czuję pustkę w głowie, bo nie jestem specjalistą od fantazjowania.

Wreszcie przychodzi kolej na trzecią.

Zaczynam: „Dawno, dawno temu w pewnym lesie za górami, za morzami... żył sobie... zły czarodziej".

Teraz muszę coś wymyślić. Ale co?

I oto ni stąd, ni zowąd słowa zaczynają mi się wiązać ze słowami i powstaje bajka o dziwnym lesie, w którym mieszkały najróżniejsze zwierzęta i ptaki, żyjące z sobą w wielkiej zgodzie. Niestety radość mącił strach, bo w lesie panował zły czarodziej, który słynął z tego, że od rana do wieczora lubił płatać czarodziejskie figle. Mieszkańcy lasu ukrywali się przed nim, ale on ich odnajdywał i robił na złość. Gdy napotkał na przykład na drodze niedźwiedzia, to wypowiadał swoje czarodziejskie zaklęcie i zamieniał go w mrówkę albo w pszczółkę, a psa zamieniał nagle w kota. Bywało tak, że oto kot biegł za myszką, tymczasem czarodziej miał mnóstwo uciechy, zamieniając go nagle w myszkę, a myszkę z kolei zamieniał w kota, tak że role się odwracały i zwierzęta musiały się szybko przystosowywać do nowej sytuacji. Nikt nie wiedział, czy w przeciągu dnia przeżyje pod swoją postacią, czy zostanie zamieniony w kogoś innego. To był las przeobrażeń. W zależności od dobrego czy złego nastroju czarodzieja jednego dnia mogłaś być krasnoludkiem, a drugiego wielkoludem. Jednego dnia ptakiem, innego drzewem. Jednego dnia mogliście być Jasiem i Małgosią, a następnego – zły czarodziej zamieniał was w parę muchomorów. Jak tu żyć w takim dziwnym lesie, gdzie nic nie jest stałe i pewne, i gdzie wiewiórki nie mogą zbierać orzeszków, jako zapasów na zimę, bo i po co, skoro wiedzą, że za chwilę mogą przestać być wiewiórkami?

Jak tu żyć w takim dziwnym lesie, gdzie niczego nie można zaplanować, przewidzieć i nikt nie jest pewny dnia ani godziny? Po skończeniu bajki, w której w końcu udaje nam się wspólnie z wnuczką unieszkodliwić złego czarodzieja, przy wydatnej oczywiście pomocy dobrego czarodzieja... kładę się do łóżka w swoim pokoju i rozmyślam, że przecież cały nasz świat (a może kosmos) i całe nasze życie bywa takim „lasem przeobrażeń", choć w spowolnionym tempie.

Jakby nad światem panował złośliwy kreator, przemieniający jedną formę materii w drugą, jedną formę organizacji atomów w inną...

Połowa ludzi, których znałem w mojej wsi, leży już na cmentarzu pod tujami, zastąpiona dziećmi i młodymi, których nie znam.

Oczywiście, gdy byliśmy mali albo młodzi, to otaczający świat, otaczający ludzie – wydawali się wieczni, nieśmiertelni i my zdawaliśmy się sobie trwać w niezmiennej postaci. Ale po trzydziestu, czterdziestu latach skonstatowaliśmy z popłochem, że wszystko znajduje się w ciągłym ruchu, w kołowrocie przemijania i przeobrażania, i że to co było, już nie jest i na naszych oczach nieodwracalnie się zmienia.

Jeśli wcześniej patrzyliśmy na nieruchomy świat z okna domu, to teraz po półwieczu widzimy go jak z okienka wznoszącego się coraz wyżej w górę samolotu.

Gdzie odnaleźć dobrego czarodzieja, który przywróci nam wiarę – jak w dzieciństwie – w nieśmiertelny, stały, niezmienny, czyli bezpieczny świat?

cdn.